

**POMOC SZKOLNA**  
**ZBIÓR CZYTANEK**  
**DLA KLASY IV SZKOŁY Powszechnej**  
(Treść oparta przeważnie na podręcznikach dozwolonymi w szkołach powszechnych).



---

B I A Ł A P O D L A S K A 1 9 4 5



## R o t a.

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,  
Nie damy pogrześć mowy,  
Polski my naród, polski lud,  
Królewski szczerp piastowy.  
Nie damy, by nas gnębił wróg.

Tak nam dopomóż Bóg.

Do krwi ostatniej kropli z żył  
Bronić będziemy ducha,  
Aż się rozpadnie w proch i w pył  
Krzyżacka zawierucha.  
Twierdzą nam będzie każdy próg.

Tak nam dopomóż Bóg.

Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz  
I dzieci nam germanit.  
Orężny stanie hufiec nasz,  
Duch będzie nam hetmanit,  
Pójdziem, gdy zagrzmie złoty róg.

Tak nam dopomóż Bóg.

Maria Konopnicka.

## Bohaterstwo Jurka.

Była to późna pora popołudniowa. We wsi Krzewinach, na kolonii u Grochowskiego, kończyła się ostatnia lekcja tajnego nauczania. Nauczyciel przed odejściem, powiedział do dzieci:

— Tej nocy partyzanci znowu wysadzili pociąg niedaleko od nas. Należy się spodziewać, że Niemcy będą teraz robić obławę w naszej okolicy. Wychodźcie stąd pojedynczo, bo możecie spotkać żandarmów, którzy większą gromadkę mogliby zatrzymać. Pamiętajcie, że macie przy sobie zabronione książki.—

Dzieci ściśle wykonały polecenie. Cnyłkiem wychodziły z kolonii i różnymi ścieżkami zdążyły do swych domów. Trzynastoletni Jurek Zahor schował książki pod marynarkę i wyszedł ostatni.

Idąc rozważał jeszcze raz, co słyszał na lekcji. — Ci Niemcy tysiąc lat temu i dziś są zawsze jednakowi: chciwi, okrutni i butni. Stale chcą nam zagrabić naszą Polskę, a z nas zrobić niewolników. Tyle ludzi wysiedlili i wszystko im zrabowali, ciągle łapią młodzież i wywożą do Niemiec, a ilu już rozstrzelali. — Ale przyjdzie czas, że wojnę przegrają i wówczas zapłacimy im za wszystkie krzywdy!

Już słońce zachodziło, gdy znalazł się koło zagrody Tomczaków. Jurek był chętnie u Tomczaków, bo słyszał tam często dużo ciekawych wiadomości o wojnie.

Wiedział też, że ich najstarszy syn należał do leśnego oddziału. Postanowił wstąpić na chwilę. Wszedł do mieszkania i zobaczył tam pięciu partyzantów polskich. Opowiadali oni, jak wysadzili niemiecki pociąg wojskowy, jak stoczyli zwycięską walkę z załogą pociągu. Jurek z zapartym tchem przysłuchiwał się i podziwiał ich wielką odwagę. Jeden z partyzantów zwany Wiarusem, widząc zainteresowanie chłopca, zapytał:

— No cóż, podoba ci się nasza robota? — Bardzo — odrzekł Jurek — żałuję, że jestem zbyt młody i nie mogę chodzić razem z wami.—

— To prawda — potwierdził Wiarus — ale jak tobie trafi się okazja przysłużyć się Ojczyźnie, to napewno z niej skorzystasz.

— O tak, pragnąłbym tego bardzo — powiedział z zapalem Jurek.

Już prawie zupełnie ściemniło się, gdy wyszedł od Tomczaków. Po drodze myślał o partyzantach, o ich bohaterstwie i niebezpieczeństwach, jakie im zewsząd zagrażają.

— Wszystko to oni robią dla dobra Polski. —

Już tylko kilkanaście kroków dzieliło go od wsi. Wtem jego uszu doszedł odgłos licznych kroków i przyciszonej rozmowy. Jurek zaniepokoił się — Czyżby Niemcy? — Ale o tej porze nie robią obław — boją się ciemności. — Nagle błysnęło światło latarki elektrycznej i rozległo się głośne „halt!“ Z poza pierwszej stodoły wysunęła się gromada ciemnych postaci, z których kilka szybko podeszło do niego. A jednak byli to Niemcy, którzy niespodzianie zjawili się we wsi, otoczyli ją i przeszukiwali domy. Zrewidowali ubranie chłopca, znaleźli książki, obejrzel je i zabrali. Poszwargotali coś po niemiecku i popychając Jurka, kazali mu iść z sobą. Było ich kilkudziesięciu. Ruszyli. Jurek z przerażeniem zobaczył, że Niemcy idą prosto w kierunku zagrody Tomczaka. — Tam niczego nie spodziewają się, a Niemców jest dużo i partyzantów pozabijają — pomyślał Jurek i serce zakolało mu mocno. — Trzeba koniecznie dać im znać — ale jak? — Już tylko dwieście kroków dzieli ich od zagrody Tomczaka. Jurka ogarnia coraz większy niepokój o życie partyzantów i mieszkańców zagrody. Naraz wpadła mu myśl do głowy. — Spróbuję uciec, Niemcy będą za mną strzelali, tamci usłyszą, a ja w ciemności może im umknę. — A może mnie zastrzelą? — Ogarnęła go obawa o swe życie. Chwilę zmagał się z sobą.

— Muszę jednak ich ratować — zdecydował — ja jeden narażam życie, ale ocaleję od śmierci kilku dzielnych i dobrych Polaków. — Błyskawicznie oderwał się od Niemca, który trzymał go za kołnierz i szybko zaczął uciekać. Niemcy zakleli. Gruchnęły strzały raz i drugi. Dwie kule ugodziły Jurka w plecy i przeszły ciało nawylot. Jurek przebiegł jeszcze kilkanaście kroków i upadł na ziemię. Niemcy przybiegli do niego, a jeden z nich uderzył go kolbą karabinu. Widząc, że chłopiec trafiony

i nie rusza się, poszli dalej w stronę zagrody Tomczaka. Jurek przycisnął ręką obficie krwawiącą pierś i próbował wstać, ale nie mógł. Siły opuszczały go bardzo szybko. Po chwili zobaczył Niemców wracających od Tomczaków. — Chwała Bogu — szepnął z ulgą — nasi usłyszeli strzały i uciekli. — Ucieszył się bardzo, że uratował im życie. Z upływu krwi słabł coraz bardziej i wreszcie stracił przytomność.

Obława trwała aż do świtu. Mieszkańcom wsi nie wolno było w tym czasie wychodzić z domów, to też rodzice Jurka nie mogli go poszukiwać w tym czasie.

Promienie wschodzącego słońca okryły złocistym całunem zwłoki Jurka. Z kącika jego ust sączyła się strużka krwi, a na bladej twarzy widać było jakby zastygły, lekki uśmiech.

*Eugeniusz Granżan.*

## Majster - Klepka.

Był sobie raz człowiek, istny pędziwiatr. Za młodych lat oddali go rodzice do ślusarza.

— Niech nasz Jacek parę lat poterminuje, ślusarki się nauczy — myślą.

Gdzie tam! Pobył Jacek przez tydzień w warsztacie, a na drugi zbiera swoje manatki.

— Znudziło mi się tu — powiada. — Ślusarz wciąż klucze i zasuwy robi. A te klucze i zasuwy tylko do tego służą, że zamykają to, co otwarte, a otwierają to, co zamknięte. Nudna taka robota. Nie podoba mi się.

Oddali go rodzice do piekarza.

— Niech nasz Jacek parę lat poterminuje, piekarzem zostanie — myślą.

A jakże! Pobył Jacek w piekarni pół tygodnia i pakuje manatki.

— Znudziło mi się tu — powiada. — Piekarz nic innego nie robi, tylko wciąż w tej samej dzieży na nowo ciasto rozczynia i piecze chleb i bułki, bułki i chleb. Nudna taka robota. Nie podoba mi się.

Oddali go rodzice do fabryki, do huty szkła.

— Gdy nasz Jacek w hucie szkła przez parę lat popracuje, z robotnika majstrem zostanie — myślą.

Ale Jacek znówu swoje! Po dwu dniach przychodzi z fabryki i tak powiada:

— W tej szklanej hucie nic innego nie robią, tylko wszystko szklane: szklane szklanki, szklane butelki, szklane szyby.. Znudziło mi się to Innej roboty chcę.

Stracili rodzice cierpliwość.

— Idź, gdzie cię oczy poniosą, skoroś taki, że nigdzie miejsca nie zagrzejesz.

Poszedł.

I tu był, i tam był. Każdego rzemiosła po drodze próbował. Przy żadnym nie wytrwał. Nikt go już teraz nie nazywał Jackiem. Każdy na niego mówił „Majster-Klepka“. I śmieli się ludzie, że do wszystkiego się bierze, a nic porządnie zrobić nie potrafi. Więc wstydził się wrócić do domu i szedł w świat coraz dalej. Postarzał się w tej wędrowce. I świat obszedł dookoła.

Pewnego razu, tak idąc, zaszedł niespodziewanie na podwórze tej samej huty szkła, w której zamłodu nie chciał pracować. Teraz stanął w bramie i o robotę prosił. Ale mu powiedzieli, że jest już za stary. Kazali mu iść precz.

Pożałował Majster-Klepka młodych lat, które przemarnował.

— Cóż ja teraz będę robić na świecie? — i zapłakał gorzko.

Zobaczyła te jego łzy dobra wróżka Pracoduszka, która na niewidzialnych skrzydłach kręci się zawsze w pobliżu fabryk i warsztatów.

— Nie płacz — szepnęła. — Mam dla ciebie robotę. Zaruć na plecy tę oto drewnianą skrzynkę z taflami szkła. Weź do ręki tłusty kit i diament, krający szkło. Będiesz chodził od wsi do wsi, od miasta do miasta i będziesz wprawiał szyby.

Tak oto Majster-Klepka został szklarzem.

Chodził teraz uśmiechnięty w skwar, w burze, w słoty i w mrozy. Gdzie tylko zobaczył zbitą szybę w oknie, przystawał i wołał:

— Szklarz jestem! Szklarz! Wprawiam szybki do okienek, dla pańienek kryształowe, tanie nowe. Szklarz jestem, szklarz!

Za wesołość, za pracowitość polubili go ludzie. I on ludzi polubił. A że miał w swojej szklarskiej skrzynce szybki, podarowane przez wróżkę, więc były to wszystko szybki zaczarowane. Otóż komu taką czarodziejską szybkę Majster-Klepka w okno wprawił, ten zaraz inaczej na świat patrzył. Lepiej. Bo przez te szybki widziało się wyraźnie wszystko dobre, choćby ono było maleńkie jak pyłek, a złego nie można było dostrzec wcale, choćby ono było tak wielkie jak góra. Więc nic dziwnego, że ludzie wciąż teraz wyglądali dobrego szklarza.

A on, świat obszedłszy dookoła, natrafił pewnego ranka na małą, biedną chałupkę. Dach na tej chałupce się przekrzywił, zmurszały jej ściany, a okienka w ziemię wrosły.

Podchodzi Majster-Klepka bliżej, przygląda się, w okienku szyby potłuczone, papierami zaklejone, pajęczyną zasnutę.

Zamyślił się Majster-Klepka.

— Bardzo tu biedni ludzie muszą miezczać, — myśli — biedni i nieszczęśliwi. Smutny świat widzą przez to brzydkie ciemne okno. Żal mi ich, ale już wiem, co robię!

Poszukał pilnie w swojej czarodziejskiej skrzynce i z samego jej dna wydobyl śliczną, różową szybkę. Cichuteńko, na palcach, podszedł do okienka i — raz, dwa, różową szybkę wprawił. A potem, że był zmęczony drogą, siadł pod oknem i zasnął.

Tymczasem w chacie zbudzili się mieszkańcy.

— Patrz — powiada staruszka-żona do staruszka-męża. — Cud się stał: różowe słońko w naszym oknie świeci.

Podreptał staruszek-mąż do okienka, wyjrzał przez różową szybkę i woła do staruszki-żony:

— Świat się odmienił, jest cały różowy. Chodź popatrz tylko!

Przydreptała czem prędzej staruszka-zona.

— Prawda! — krzyknęła, wyrzawszy przez czarodziejską szybkę. — Świat jest inny, niż wczoraj! Świat jest dziś wesoly! Ale... Co to? Czy mnie oczy nie mylą? Nasz Jacus śpi pod oknem, a piękny jak królewicz!

Wybiegli staruszkowie przed chatę, uściskać syna. Radość to była, radość dla wszystkich trojga.

Gdy się dość naradowali, zbudował Majster-Klepka dla swych rodziców nowy dom, cały z różowych szybek.

Dowiedział się o tem Pan Bóg i posłał Swego anioła po szklarza.

— Gdy skończysz, Majstrze-Klepko, ludziom na ziemi wprawiać czarodziejskie szybki, — powiedział anioł — przyjdź do nieba. Pan Bóg ma w niebie robotę dla ciebie. Wprawisz wielką różową szybę w tem niebieskiem oknie, które właśnie wychodzi na ziemię.

Więc nasz szklarz śpieszy się teraz z robotą, ażeby na czas pójść do nieba.

Już nawet ugniótł zapas nowego, żółciutkiego kitu i kupił nowy, twardy diament.

*Ewa Zarembina*

## *Przysięga.*

*Na krakowskim rynku  
Wszystkie dzwony biją.  
Cisną się mieszczany  
Z wyciągniętą szyją.*

*Na krakowskim rynku,  
Tam ludu gromada,  
Tadeusz Kościuszko  
Dziś przysięgę składa.*



Zagrzmiały okrzyki,  
Jak tysięczne działa...  
Swęgo bohatera  
Polska wita cała!

Wyszedł pan Kościuszko  
W krałowskię sukmanię,  
Odkrył jasne czoło  
Na to powitanie.

Odkrył jasne czoło,  
Kłęknał na kolana:  
— Ślubuję ci życie  
Ojczyzno kochana!

Ślubuję ci życie,  
Ślubuję ci duszę,  
Za Bożą pomocą  
Wolność wrócić muszę!

Nie stoję tu w srebrze,  
Nie stoję tu w złocie,  
Lecz w pogardzie śmierci,  
W staropolskiej cności! —

A mówił te słowa  
W tak ogromnej ciszy,  
Zdało się, że Pan Bóg  
Tę przysięgę słyszy.

Zapłakał, zaszlochał  
Naród dookoła...  
Wstał Kościuszko, wstrząsnął  
Krakuskę u czoła.

Zabtysta mu w rękę  
Szabla poświęcona!  
— Niech żyje — zawołał —  
Litwa i Korona! —

*I wzniosł ją oburącz  
W to jasne zaranie.  
— Ogłaszam przed niebem  
Narodu powstanie! —*

*A głosy buchnęły  
W serós rynku i grodu:  
— Niech żyje Kościuszko,  
Naczelnik narodu! —*

*Ej, byłaż to chwila  
I święta i Boża!..  
Cała Polska drgnęła  
Od morza! — do morza!*

*Maria Konopnicka.*

## W Komarnie.

Wstał pogodny ranek. Przed szkołą w Komarnie wielki ruch, bo dziś uczczenie pamięci poety Kajetana Sawczuka. Budynek ubrany odświętnie.

Licznie zgromadziła się dziatwa szkolna i starsi. Są nawet całe zespoły organizacyj wsiowych jak: Koło Młodzieży Wiejskiej, Straż Pożarna i inne.

Wszyscy czekają jeszcze na kogoś.

Nagle ktoś krzyknął. — Pan inspektor jedzie! I rze-  
czywiście. Od strony łąki skręcił jakiś wóz wprost na  
aleję lipową.

Wśród dzieci poruszenie. Ustawianie szeregów. Na  
przodzie mała dziewczynka w drżących rączynach trzyma  
wiązanek polnych kwiatów, którymi wita przybyłego in-  
spektora szkolnego.

Kiedy już wszystko było gotowe przemawiali: kierow-  
nik szkoły, wójt, inspektor szkolny oraz jeden z gospoda-  
rzy. Dzieci szkolne odśpiewały kilka piosenek. Obok dziatwy  
stał jeden z mieszkańców Komarna.

Był to ojciec Kajetana Sawczuka, ojciec po-

ety, który zmarł w 1917 roku i nie doczekał się wolnej Polski. A tak pragnął tego.

Na twarzy ojca pojawił się uśmiech i smutek zarazem. Uśmiech, że oto ku czci jego syna aleja lipowa otrzymuje dziś nazwę Kajetana Sawczuka, a smutek, że przecież syn mógłby żyć jeszcze i sam zbierać owoce swej pracy dla Polski.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Pośród drzew lipowych w powodzi kwiatów już zdaleka widniała tablica z napisem:

A L E J A  
KAJETANA SAWCZUKA

*St. Duński*

*Do młodzieży.*  
(WYJĄTEK).

*Od ciebie dziś polska młodzieży  
Los przyszły Ojczyzny zależy.  
Ty Polskę masz wyrwać z niemocy,  
Krwcią własną i hartem twych ramion  
Z pod obcych wyzwolić ją znamion,  
Ostonić przed wichrem północy.  
O polska młodzieży! bierz ducha  
Co wieje od mogił ofiarnych,  
Co patrzy z więziennych cel czarnych.  
W nim siła, w nim twoja otucha.  
Na każdą, na śmierć gotowa bądź  
Niech ciebie ból nie trwoży.  
Za braci lepszy los,  
Za Polski nowe dzieje  
Umrzeć gotowa bądź  
O młodzi!*

*Kajetan Sawczuk.*

## Kolorowe włóczki.

Na długim stole, stojącym pośrodku izby; na półce, przybitej do ściany, w uchyłonej szafie — wszędzie leżą kłębki i pasemka włóczki. Są różnych kolorów: czerwone, zielone, żółte, szafirowe, różowe, niebiesciutkie. Zupełnie jakby kwiaty rozkwitły w ciemnej suterenie.

Wśród tych włóczek siedzą Janka, Bronka, matka i mały Wicek. Janka, Bronka i matka w milczeniu migają drutami. Wicek gaworzy coś po swojemu, po dziecięcemu, i chodzi od jednej do drugiej.

— Odejdź, nie przeszkadzaj — mówi mu Bronka.

Malec chce się bawić. Nudzi mu się samemu. Nie rozumie, że matka i siostry muszą wykończyć na czas tuzin szalików, zamówionych przez sklep trykotażowy. Lada chwila przyjdzie ojciec, aby zabrać i odnieść te szaliki na drugi koniec miasta. Przyniesie za nie kilka złotych.

Więc matce robota aż się pali w rękach. Już matka piąty szalik odkłada gotowy.

Janka nie ma jeszcze tej wprawy, co matka, ale zato umie dobrać kolory włóczek tak, jak nikt tego nie potrafi.

— Zrobiłam dziś dopiero trzy szaliki, choć siedzę od rana — żali się Janka.

— Nie martw się — mówi matka. — Te trzy są takie śliczne, że na pewno wezmą je w sklepie odrazu, i kto wie może nawet parę groszy więcej zapłaci. Przyda się na węgiel.

Więc Janka rumieni się z uciechy, że ją matka chwali.

Bronka jest młodsza od Janki. Bronka tylko pomaga matce i Jance, gdy już odrobi swoje lekcje. Często przytym myśli o czym innym. Myli się więc i nieraz sporo napsuje włóczki, choć robota frendzli nie jest trudna, a włóczka droga.

O, i teraz zrobił się jej supeł.

— To dlatego, że Wicek grymasi i za kłębek ciągnie. A idźże ty sobie! — krzyknęła niecierpliwie Bronka. Zaraz jednak umilkła, bo Wicek bez słowa, z oczami pełnymi łez,

z drżąca bródką cofnął się pod komin i siadł skulony na podłodze, smutny i taki biedniutki.

Zerwała się Bronka od stołu i podbiegła do braciszka.

— Nie płacz, Wicus, nie! Dam ci cacy, dam.

— Daś, Blonia, daś? — rozpromienił się Wicus.

— Daj, daj! — i wyciągnął łapki.

Bronka rozejrzała się bezradnie po ubogiej izbie:

— Skądże tu wziąć zabawkę?

Nagle spojrzała na kolorowe włóczki i pyszny pomysł przyszedł jej do głowy.

— Czekaj, Wicus, czekajno tylko trochę!

Poszeptała Bronka krótką chwilę z matką, poszeptała Bronka długą chwilę z Janką... I patrzcież! Jeszcze tego wieczora uszczęśliwiony Wicus ścisnął i obcałowywał małą jak palec, śliczną laleczkę. Był to prawdziwy Tomcio Paluch z bajki. Miał różową buzię z włóczki, z włóczki też miał zrobione sterczące żółte włoski. I czerwony kubraczek, i zielone butki — wszystko, a wszystko miał z włóczki.

Zato na frendzlach, wiązanych teraz przez Bronkę u szalików, nie widać było ani jednego supła, ani jednej ko-smacizny.

*Ewa Zarembina*

## Może być nieszczęście.

— Żebyś mi nigdzie nie chodził po szkole z chłopakami. Masz zaraz po lekcjach wracać do domu — mówi mama zawiązując Stefkowi szalik na szyi. — I pamiętaj, żebyś nie brał do rąk tych zapalników, bo może być nieszczęście.

— Dobrze, mamó — odpowiada Stefek i już jest za drzwiami.

Na wszystkie upomnienia mamy Stefek zawsze odpowiada: Dobrze, mamó. — Ale zaraz zapomina o czym mama mówiła: A o tych zapalnikach właśnie mu mama przypomniała. Wczoraj Kazik mówił Bronkowi, że za ogrodem Kowalczuka są takie malutkie bombki. Namawiali i jego, żeby

z nimi poszedł, to sobie nabierze. Ale Stefek nie chciał, bo właśnie pán kierownik upominał, żeby nie bawić się żadnymi nabojami. Opowiadał: „że w jednej szkole dwóch chłopców zostało ciężko poranionych przy rozbieganiu znalezione go na polu granatu. Obaj leżą jeszcze w szpitalu. Pewno niedługo już wyjdą. Tylko już jeden nigdy nie będzie widział, a drugi stracił prawą rękę. To straszne — myśli Stefek — nie widzieć. Mimowoli rozejrzał się dokoła. Przechodził właśnie przez las. Jak ślicznie! Każde drzewo wystrojone jak na święto w czyściutką śniegową sukienkę. Śnieg mieni się tysiącami brylantowych iskier. Chciałoby się zbierać te brylanciki i nawlekać jak paciorki na nitkę. Żeby się to nie roztopiło, zrobiłby koraliki dla Stasi. To dopiero by się cieszyła! Stefek bardzo kocha Stasię. Jest coprawda jeszcze głupiutka, jak zwykle takie trzyletnie dzieci. Ale Stefek lubi jej ładną, różową buzię, jej roześmiane oczka. A od czasu, jak Stasia ciężko chorowała na szkarlatynę, kiedy to jak mama mówi: „jedną nogą była już na tamtym świecie“, Stefek na wszystko jej pozwala. Daje jej nawet do oglądania album z królami, który kupił od Jurka za wieczne pióro. Nie widzieć tego wszystkiego: ani lasu, ani słońca, ani śniegu, ani Stasi, ani mamy, ani ojca. Wstrząsnął się Stefek. — Już chyba wolałbym nie mieć ręki — myśli — choć i to okropne. Ja lubię rysować — Stefkowi żal tych nieszczęśliwych chłopców, co leżą w szpitalu, sami sobie winni, to prawda, ale jednak żal. Albo Zbyszek z piątej klasy. Odjęli mu nogę do kolana. I chodzi biedak o kuli. A także od granatu.

— Stefek, zaczekaj — usłyszał nagle za sobą wołanie, a jednocześnie koło jego ucha przeleciała śnieżna kula, za nią druga i trzecia. Janek pochyla głowę, żeby uniknąć ciosów, a przy tym sam lepi gomółki i rzuca w stronę, skąd dochodzi głos Bronka. Po chwili chłopcy zrównali się i idą razem. Właśnie skończył się las. Przed nimi rozpościera się białe pole, a na jego kraju widnieją zabudowania i ogrody. Przed ogrodem Kowalczuka Broniek zatrzymał się. — Wiesz — powiedział do Stefka — pokazując mu nieduży rów przy-

sypany śniegiem. — Byłem tu wczoraj z Kazikiem. Rozebraliśmy 4 czuby. A huk był, bracie. Ludzie powychodzili z domów. Jedna kobieta strasznie nam wymyślała. Krzyczała, że da znać do milicji, do szkoły, że powie ojcu, że będzie nieszczęście. A ja się wcale nie bałem, bo ona nie wie, jak ja się nazywam i wcale nie zna mojego ojca.

— Ale naprawdę mogło być nieszczęście — powiedział nieśmiało Stefek, bo przypomniały mu się niedawne rozmyślenia i przesroga matki. Ale Bronek roześmiał się lekceważąco. — Jakie tam nieszczęście. Starsi to się zawsze wszystkiego boją. Żeby człowiek ich słuchał, toby się na śmierć zanudzał. Jak się kto umie obchodzić z granatami tak jak ja, to nie może być nieszczęścia — dodał z przechwałką. — Chodź z nami dzisiaj, to zobaczysz. Będzie fajno.

Stefek wstydział się powiedzieć koledze, że się boi. A przytem słuchając przechwałek Bronka pomyślał, że może naprawdę starsi przesadzają. Tamci, co w szpitalu nie umieli się napewno obchodzić. Ale Bronek. On wszystko umie. No, nie na lekcjach. Ale tak. Naprzykład z procy doskonale strzela, papierosy pali jak dorosły, a w mocowaniu nikt mu nie dorównał. A swoją drogą, jak to musi być przyjemnie jak się taki granat rozrywa. Można sobie myśleć, że się jest na prawdziwej wojnie. A przecież Stefek marzy o tym, żeby być żołnierzem.

Dziś Stefek nie bardzo w szkole uważał. Myślał o czubach, granatach i zapalnikach. O tym, że jutro będzie mógł pochwalić się przed kolegami ile on rozebrał czubów. W domu naturalnie nie powie.

Po lekcjach Kazik, Bronek i Stefek poczekawszy aż wszystkie dzieci, a zwłaszcza dziewczęta rozeszły się do domów, udali się za ogród Kowalczuka. Z dziewczynkami nigdy nie wiadomo — mówił Kazik — taka zaraz pójdzie i wypaple.

Stefek już zupełnie zapomniał o wszystkich przestro-gach. Z ciekawością pochylił się nad ciemnym przedmiotem, koło którego Bronek zaczął coś ostrożnie manipulować.

W pewnej chwili ogarnął go dziwny lęk. Ale się opanował. Przecież Broniek umie.

Wtem. O Boże! Huk przeraźliwy wstrząsnął powietrzem. Błyskawica jakaś oślepiła Stefka. A potem ciemność i nic.

Kiedy Stefek odzyskał przytomność, leżał w dużej sali, a przy nim stała zapłakana matka. W głowie czuł nieznośny szum i ból. Chciał się poruszyć, ale głowa ciążyła tak, jakby była z ołowiu. Z trudem przypominał sobie wszystko. — O dobry Boże! Dzięki ci, że widzę — wyszeptał cichutko. — Przebacz mi, mamó — powiedział do szlochającej matki.

Na sąsiednim łóżku leżał Broniek, który dotąd nie odzyskał przytomności. Lekarze nie mieli nadziei utrzymania go przy życiu. Kazika nie było. Zginął na miejscu, trafiony odłamkiem granatu w serce.

*Wactawa Carnelli*

## Sukienka w różyczki.

Był piątek. Tego dnia rodzice Janki przeprowadzili się ze starego mieszkania na nowe. Już z samego rana pojechał ojciec z rzeczami, upakowanymi wysoko na wozie. Janka bardzo chciała pojechać razem z ojcem, ale musiała iść do szkoły, jak każdego zwykłego dnia.

— Pomożesz potem przy ustawianiu rzeczy, — powiedziała matka — więc przyjdź ze szkoły od razu na nowe mieszkanie. Trafisz?

— Trafie, trafię! — ucieszyła się Janka. Bardzo była ciekawa nowego mieszkania. Zaraz po lekcjach czym prędzej pobiegła na obcą ulicę, która od dziś nie będzie już obca, ale swoja, znana.

Matka, zajęta ustawieniem mebli, nie miała czasu gotować obiadu. Dała Jance kromkę chleba z masłem i kubek mleka. Stała dziewczynka w oknie, zajada i patrzy ciekawie przez okno nowego mieszkania na ulicę. Wszystko tu nowe, inne, dziwne. Ot, choćby ten ogromny budynek po drugiej stronie. Zajął sobą całą długość ulicy. Ściany ma z czerwonej cegły, mnóstwo okien, wielką żelazną bramę. Przez tę bramę przechodzą właśnie ludzie. Cały tłum, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi.



Jedni wchodzą, wychodzą drudzy. Ci, co wychodzą, wyglądają na bardzo zmęczonych. Widocznie mają ciężką jakąś pracę w tym budynku.

— Co to za budynek, mamó? — pyta Janka.

— Nie widzisz, że fabryka? — mówi matka, szukając czegoś w kufrze.

Janka widzi, że przez bramę fabryki na dziedziniec zajeżdżają platformy. Wszystkie naładowane czubato jakimiś olbrzymimi pakami.

— Mamó, — woła Janka — mamó! Co to za paki? Co w nich jest, mamó? Jakby wata, tylko jakaś taka brudna, czy co?

Matka właśnie podeszła do okna, aby zawiesić firanki, wyjęte z kufra. Spojrzała przez szyby.

To jest bawełna — powiedziała. — Przywozi się ją z Ameryki przez Gdynię do Łodzi.

Naco to? POCO? Co oni z tym robią? — dopytuje się Janka, bo widzi, że owe paki bawełny zdejmują ludzie z platform i wnoszą do budynku.

Matka poprawia nakrochmalone falbanki u firanek i objaśnia cierpliwie.

— Robotnicy w fabryce oczyszczą tę bawełnę. W przędzalni ukręcą z niej nici na takich wielkich, kręcących się szpulach. W tkalni maszyny tkackie utkają z tej przędzy na krosnach materiał.

— Jaki materiał? — dziwi się Janka.

— Taki naprzykład, z jakiego uszyta jest twoja sukienka. — Janka ciekawie spogląda po sobie: sukienka, którą ma pod szkolnym fartuchem, jest granatowa w czerwone różyczki.

— Jakto? — pyta Janka. — Kiedy ta bawełna w pakach jest biało-szara, nie, nawet szaro-żółta, a materiał mojej sukienki...

— A materiał twojej sukienki kolorowy i w desień? No, bo go utarbowali robotnicy w fabryce.

To mówiąc, matka skończyła robotę z firankami i podeszła znowu do kufra, aby wyjąć z niego świąteczne ubrania, swoje i Janki. Odstawiła Janka pusty kubek po mleku. Poskoczyła czym prędzej, aby matce pomóc. Świąteczne sukienki też były

barwne i miały różne desenie po sobie. Janka przyjrzała się im ciekawie, jakby po raz pierwszy zobaczyła te malowane kwiaty, te kropki, kółka i paski.

— To te wszystkie materiały są z takiej fabryki, mamó?

I nie czekając na odpowiedź matki, wykrzyknęła:

— Mamó! Ja muszę zobaczyć zbliska tę fabrykę! To jest strasznie ciekawe, jak tam też jest w środku!

Matka uśmiechnęła się.

— Tak — powiedziała. To jest ciekawe dla każdego. I ważne jest. Widzieć, jak człowiek pracuje dla człowieka. Jeden dla drugiego. A maszyny go słuchają, służą mu.

Janka przyjrzała się jeszcze raz czerwonym różyczkom na swojej sukience. Matka usłyszała, że mruczy:

— Z Ameryki... przez Gdynię... do Łodzi...

*Ewa Zarembina*

## Po pracy.

— Ojciec zaraz będzie — mówiła mama, kiedy rozlegał się wdali przeraźliwy gwizdek fabryczny. Ten gwizdek oznaczał, że już jest czwarta, i że w fabryce kończą pracę. Z fabryki do domu nie było daleko.

Mama prędko dokładała do pieca, żeby przygrzać ojcu obiad. Leosia pomagała mamie sama, bo Franek pobiegł na podwórze i aż tu słyhać krzyki; to chłopcy grają w piłkę.

— Żeby tylko nie wybili jakiej szyby — martwi się mama, stawiając garnuszek z zupą na blasze. Uśmiecha się jednak, że tam tak wesoło się bawią, bo mama sama jest wesoła. Lubi, kiedy wszyscy koło niej są uśmiechnięci i zadowoleni.

Leosia na rogu stołu rozściela serwetkę z Inianego płótna. Sama ją wyhaftowała w szkole według wzoru, który jej pani nauczycielka narysowała. I jakoś weszło w zwyczaj, że talerz dla ojca zawsze się stawia na tej serwetce, żeby ojcu było przyjemniej jeść, niż na samym stole. Choć stół czysto wyszorowany, ale zawsze są to tylko zwyczajne deski. Na serwetce talerz ładniej wygląda.



— Napracuje się ojciec, to mu się należy — mówi mama i miesza w garnuszku zupę, żeby się nie przypaliła.

Już słyhać, jak ojciec idzie. Leosia zdaleka poznaje jego kroki: głośno dudnią na schodach. Za chwilę otwierają się drzwi. Ojciec wchodzi. W miednicy już czeka woda. Choć ojciec myje się przed wyjściem z fabryki, ale w domu, to jednak coś innego. Leosia nigdy nie zapomni o przygotowaniu tej wody.

— Gdzie jest Franek? — pyta ojciec.

— Na podwórzu, grają w piłkę — mówi mama i nalewa zupę ua talerz.

Ojciec je. Leosia siedzi cicho, żeby nie przeszkadzać, bo przecież ojciec jest bardzo głodny. Kiedy to oni zjedli obiad! A on dopiero teraz.

Franek wpada do izby Piłka piłka, ale z ojcem zawsze przyjemnie posiedzieć Czasem ojciec opowie coś ciekawego z fabryki, np. jak robili nowe przęsła<sup>1)</sup> do mostów; bo ojciec pracuje w wielkiej fabryce Tam zawsze jest coś ciekawego.

Dziś ojciec jest zmęczony i nie ma ochoty opowiadać.

— Lepiejbyście co poczytali, postuchałbym — mówi ojciec. Leosia się cieszy, bo to ona ma czytać. Lepiej czyta od Franka. Ojciec nie lubi, gdy się przy czytaniu jąka albo przekręca wyrazy.

Za oknem powoli robi się zmrok. Mama zapala lampę i przykręca knot, żeby nie filował. Ojciec pyta:

— Macie jaką nową książkę?

A jakże, jest. Leosia przyniosła ze szkoły. Rozkłada ją na stole, tuż koło lampy Mama siada z drugiej strony z szyciem. Bo Franek tak drze, że mu wciąż coś trzeba reperować.

Leosia czyta. Jest cicho. Mama szyje. Nawet Franek słucha uważnie, taka śliczna ta książka „O bohaterskim Misiu“.

Ojciec słucha. Może potem, wieczorem, pójdzie się przejść, o ile nie będzie padał deszcz. Czasem zabiera i Franka i Leosię. Idą przez oświetlone ulice, a ojciec opowiada różne ciekawe rzeczy.

*Wanda Wasilewska*

<sup>1)</sup> Przęsło — wiązanie mostu, zawarte między dwiema podporami.

## Młodzi idą...

Dziś polskiej ziemi młodzież wieśniacza,  
Między pustkowiec wsi i ugorem,  
Do lotu skrzydła orle rozstacza,  
Do walki staje z mroków upiorem...  
Upiór — ciemnota straszliwa, podła  
W niedolę, nędzę lud nasz zawiodła,  
Zziębła serce, ciało i duszę,  
Uroczą Polskę zmieniła w głuźkę...  
Ku lepszej doli twojej, narodzie,  
Płynięm, jak burzą targane łodzie,  
Bo wielki ogień tli w naszym tonie,  
Ster naszej doli my w nasze dłonie  
Uchwycim Na prawą sprowadzimy drogę  
Ze złej, obtudnej.  
Z sił młodocianych dziś czynim próbę,  
A w doświadczeniach nabierzem hartu  
Potworom, widmom uczynim zgubę,  
Staniem do walki nawet i czartu.  
Dalej młodzieży! potącz swe dłonie,  
Rozplomień iskrę, co w duszy płonie!  
Tak dążmy naprzód o siłach własnych,  
Póki nie zmienim tej naszej ziemi,  
Póki nie dojdziem do celów jasnych —  
Niechaj na chwilę nie ustaniemy...

Kajetan Sawczuk.

## Straż nad Olzą.

Gdy Biały Orzeł nasz  
wzbił ponad Śląsk lot swój,  
ty, bracie, pełnij straż,  
nad Olzą zbrojnie stój.

Mieć trzeba własną moc,  
strzec Śląska póki tchu.  
Gotowa w dzień i w noc  
straż niechaj czuwa tu.

## Serce Frydrychowskiej.

Kościelnego żona, Frydrychowska, oświadczyła całej gromadzie, że tylko ona ma prawo dzwonić podczas jutrzejszej uroczystości.

— Dobrze, dobrze! — zgodził się komendant powstańców. — My też nie mamy wcale zamiaru odbierać wam tego prawa. Ja tylko myślałem, że może nie potraficie tak długo dzwonić. Że was może będą ręce boleć. Chciałem, żeby wam pomógł ktoś z młodszych.

— Nie! Nie! — broniła się Frydrychowska. — Już ja dam sobie radę.

Na tem stało, że gdy cała wieś będzie witała nadchodzące wojsko polskie, żona kościelnego, Frydrychowska, będzie dzwoniła dzwonem świętej Barbary. Słusznie należy jej się ten zaszczyt. Wszyscy przecież wiedzieli, że gdyby nie Frydrychowska, to nie byłoby już dzwonu.

Wojna światowa miała się już ku schyłkowi, gdy przyszli niemieccy żołnierze i chcieli zdjąć dzwon z wieży. Lecz dzwonu na wieży nie zastali. Szukali go po całej wsi, grzebali w ziemi koło kościoła. Nawet do piwnicy księdza proboszcza zagląдали, lecz dzwonu nie było.

Wtedy Frydrychowska została skazana na trzy lata więzienia za ukrycie dzwonu. Poszła do więzienia, lecz radowała się, że dzwon pozostanie dobrze ukryty, w głębokiej studni.

Niezdługo jednak wojna światowa skończyła się. Frydrychowska wróciła z więzienia do domu. Wtedy dopiero powiadziała księdzu proboszczowi, gdzie ukryła dzwon.

— Czemu to uczyniliście? — pytał ksiądz proboszcz, patrząc w zdumieniu na Frydrychowską.

— Przecież to dzwon świętej Barbary i ogromnie stary! Żal mi było, że taki śliczny dzwon miałby być przetopiony na armaty niemieckie. Więc utopiłam go w studni.

Ludzie we wsi wprost wierzyć nie chcieli, że dzwon został uratowany. Wyciągnęli go zpowrotem na drewnianą wieżę i z radością słuchali, jak znowu dzwoni i głosi chwałę świętej Barbary, patronki górników.

Potem działały się na Śląsku rzeczy wielkie. Słazacy porywali się do powstania raz i drugi, i trzeci raz. Za każdym razem dzwon świętej Barbary dzwonił na ludzi, by ratowali Śląsk. I oto jutro nastanie największe święto na Śląsku. Wojsko polskie wkacza na Śląsk! Mój Boże święty!

Frydrychowska nie mogła opanować wzruszenia. Płakała z radości. Widziała bowiem, że śmierć jej dwóch synków nie była daremna, że została okupiona tak wielkiem zwycięstwem! Mój Boże święty!

Nazajutrz od samego rana zbierały się tłumy z Ligoty i ze wszystkich wsi okolicznych, ustawiały się przy bramie triumfalnej i czekały na polskie wojsko. Na wieży zaś stała w oknie Frydrychowska i patrzyła pod słońce. Długo patrzyła, a ponad nią łopotała wielka chorągiew polska i klaskała w fałdy na ciepłym wietrze.

Doczekała się. Oto widzi dobrze, jak z poza wzgórza wyrusza się konnica polska z proporczykami, jak za nią maszeruje piechota w hełmach, a za piechotą wałą armaty i znowu konnica!

— Mój Boże święty! — szeptała wzruszona kobieta i łzy ocierała z pomarszczonej twarzy. — Mój Boże święty! Polskie wojsko idzie!

Ujęła za grubą linę od dzwonu świętej Barbary i zaczęła dzwonić. Długo i długo. Na drodze radowali się ludzie, wiwatowali głośno, a wojsko maszerowało i maszerowało. Muzyka naprzędzie grała: „Jeszcze Polska nie zginęła!” Na wieży (zaś Frydrychowska dzwoniła, szarpiąc za linę zmęczonymi rękami i połykała łzy. Dzwon świętej Barbary kołysał się szeroko i głosił całemu światu radosne zwycięstwo śląskie. Ciężkie serce dzwonu biło o mosiężne ściany. A starej Frydrychowskiej zdawało się, że to jej serce tak głośno i tak radośnie dzwoni.

*Gustaw Morcinek*

## Szcześć Boże.

Nareszcie przyszła upragniona chwila. Gdy Adam był już ze stryjem blisko budynków zarządu kopalni, przestrzegł go stryj:

— Tylko wstydu mi nie zrób. Uprzedzam cię jeszcze raz, że zjazd do kopalni to nie spacer.

Więc Adam w duchu przyrzekł sobie, że spisze się dzielnie, po harcersku. Czyż jako harcerz nie bywał już na różnych wycieczkach, trudnych nawet? I zawsze się dobrze trzymał.

Ale zaraz na początku okazało się, że wycieczka do kopalni węgla to jest coś zupełnie innego.

Stryj spojrzął na Adama i rzekł:

— Nim zjedziemy musisz się przebrać.

Weszli do dużej, wyłożonej kafłami izby kąpielowej. Stryj podał mu obszerne buty z grubej i miękkiej skóry, trykotową pielisnę, pachnącą mydłem, płócienną bluzę, także spodnie i kłapciasty kapelusz.

— Włóż to — rzekł do Adama.

Wszystko to było na chłopca za luźne i za długie. Poradził sobie jednak: tu podciągnął, tam zawinął, owdzie zawiązał i — jakoś się to odzienie na nim nieźle trzymało. Stryj Stefan też zmienił swój jasny garnitur na robocze ubranie.

— Gotowyś? — spytał Adama i wyszli przed budynek. Tu jakiś człowiek podał stryjowi i Adamowi dwa ciężkie kilofy i dwie lampy górnicze.

Z kilofem w jednej ręce, z lampą górniczą w drugiej, szedł Adam za stryjem do windy, którą się zjeżdża do szybu<sup>1)</sup>. Serce mu biło.

Stanęli w ciasnej żelaznej klatce. Chciał Adam o coś stryja zapytać, a tu już winda leci wdół, jak szalona! Dookoła Adama czarna studnia bez dna chyba, bo winda pędzi w tę ciemność, bez końca jakby.

<sup>1)</sup> Szyb — otwór, wykopany pionowo w głąb kopalni, przez który wydobywa się na ziemię kopaliny.

— Jestem pod ziemią — myśli Adam i lęk go zaczyna ogarniać wraz z tą ciemnością. — A gdyby tak ta żelazna klatka windy urwała się i spadła w tę przepaść?

W tej chwili stryj Stefan położył ciepłą rękę na ramieniu Adama i rzekł spokojnie:

— Dojechaliśmy.

Winda zatrzymała się w swym pędzie. Wysiedli.

Adam rozejrzał się ciekawie. Zobaczył dookoła siebie niskie, bielone ściany, dużo drobnych lampek elektrycznych w różne strony biegnące szyny.

Kilku ludzi czarnych od węgla zbliżyło się do przybyłych.

— Szczęść Boże — pozdrowił ich stryj.

— Szczęść Boże — odpowiedzieli.

Nagle z ciemności wypadła elektryczna lokomotywa, świecąca jasną latarnią. Maszynista spojrzął z nad latarni.

— Siadajmy — rzekł stryj do Adama, gdy lokomotywa stanęła. Usiedli na przodzie obok maszynisty.

— Podciągnij nogi, — rzekł stryj do Adama — wąsko tu jest w tunelu. Mógłbyś zaczepić o co nogami, uderzyć się i wypadść. I pochyl się trochę. Widzisz? Przewody elektryczne są nad nami. Mógłby cię prąd na śmierć porazić.

I pokazał stryj Adamowi grube metalowe sznury, rozpięte nad torem tej podziemnej kolejki.

Ruszyła lokomotywa z miejsca. Jaki pęd! Adam z całych sił trzyma się jedną ręką ramienia stryja, a drugą co raz chwytając się to jakichś haków, to brzegu drewnianego siedzenia.

Wiatr świszcząc w uszach, przydusza płomień w lampkach. Dzwonek lokomotywy dźwięczy przeraźliwie. Lokomotywa skręca gwałtownie z zakrętu w zakręt. Dookoła ciemność straszliwa, tylko gdzieś niegdzie mijają to czerwone, to białe sygnały świetlne.

Adamowi kręci się w głowie. Nigdy w życiu nie widział jeszcze takiej jazdy.

Nareszcie lokomotywa zatrzymała się pod zielonym światłem. Stryj pomógł wysiąść Adamowi. Wzięli w ręce lampy górnicze i kilofy i poszli już piechotą dalej. Minęli po drodze długie rzędy wagoników, napełnionych kawałkami węgla, i weszli



w czarną czeluść. Był to „chodnik”, t. j. przejście, wykopane w węglu, Tylko mdłe promienie lamp, które nieśli z sobą, rozjaśniały cokolwiek tę noc okropną.

Adam potykał się o leżące bryły węgla, to znów ślizgał się po wilgotnych deskach, jakimi tu i owdzie wyłożone było wąskie przejście.

— Zaraz dojdziemy do „filaru”, czyli do miejsca, gdzie pracują górnicy — rzekł stryj. Po jakiejś chwili Adam usłyszał głucho uderzenie kilofów, to znowu rzechot jakby osypujących się kamieni, to huki dalekie, groźne jak wystrzały.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł stryj i podniósł lampę do góry. A wtedy Adam ujrzał wysoko nad głową czarny, splekany strop, z którego zwisały ogromne kawały węgla, wyglądające tak, jakby zaraz miały runąć. Cofnął się z dreszczem. Spojrzał na boki. Zobaczył, że olbrzymie pnie drzewne, wbite w ziemię, podtrzymują sobą ten strop po bokach. Niektóre z tych słupów były aż wygięte z wielkiego nacisku.

— To są „stemple” — objaśnił krótko stryj.

Postąpili jeszcze naprzód. Otoczył ich gęsty pył węglowy, wciskający się do uszu, do oczu, do nozdrzy, we włosy, pod ubranie. Łoskot, huk i grzechot wzmogły się jeszcze.

Adamowi stało się tak strasznie, że musiał całą siłą powstrzymywać się, aby nie zawołać: „Stryju, uciekajmy!”

Nagle usłyszał głosy ludzkie, mówiące gromadnie:

— Szczęść Boże!

— Szczęść Boże — odpowiedział im głos stryja.

— Szczęść Boże — szepnął cichutko Adam i zrobiło mu się raźniej.

Przy blasku kilku lamp ujrzał pracującą w głębi filaru gromadkę górników. Byli czarni od węgla. Spoceni z wysiłku. Na moment obrócili twarze ku nowemu światłu i — uśmiechnęli się do wpatzonego w nich chłopca.

Wtem Adam zobaczył, że do stryja podchodzi jakiś górnik, który wyszedł z bocznego przejścia. Człowiek ten coś mówił. Adam w tym huku słyszał tylko pojedyncze słowa:

— Panie inżynierze... ogień jeszcze nie wygasł... tama trzyma się dobrze... niebezpiecznie podchodzić... gazy...

Stryj obrócił się do Adama:

— Wrócisz, chłopcze na wierzch. Ten oto pan sztygar odprowadzi cię. Ja muszę iść obejrzeć tamę, to jest zaporę, którą odgradziliśmy palący się pokład węgla od reszty kopalni, aby zdusić pożar. Ty tam iść nie możesz. W bliskości tamy wydobywają się gazy trujące, a to grozi śmiercią. No, idź, chłopcze. Szczęść Boże!

Gdy Adam znalazł się znówu na powierzchni ziemi, stanął i długo oddychał głęboko czystym, świeżym powietrzem, długo, bez słowa, patrzył w błękitne niebo i w złociste słońce.

Mijali go ciężkim krokiem ciemno odziani ludzie. Domyślił się w nich towarzyszy tamtych ludzi z pod ziemi. To byli górnicy, zdążający do pracy na drugą zmianę. Za chwilę spuszcza się pod ziemię, zdała od słońca, tam gdzie trwa wieczna noc, gdzie czyha na nich śmierć w obwisłych u stropu bryłach węgla, w płonących pokładach, w gazach trujących... Szli, śmiejąc się zwyczajnie i pogadując coś do siebie.

Adam usunął im się z drogi i, oddawszy im harcerski ukłon, rzekł słowa, które zasłyszał pod ziemią: — Szczęść Boże!

*Ewa Zarembina*

## D L A C Z E G O ?

Janek wraca do domu. Idzie sam. Mieszkający bliżej szkoły koledzy już się porozchodzili. Na świecie jest pięknie. Rano spadł bieluchny, mięciutki śnieżek i otulił ziemię puchową pierzynką. Janek mruży oczy, bo oslepia go po prostu przezysta biel śnieżna. Przed chwilą jeszcze, zanim wracający z nim razem chłopcy rozpierzchli się po drodze, zanurzał wraz z nimi ręce w puszystej śnieżnej masie, nabierał pełne garście śniegu i lepiał kule, którymi rzucał w rozdokazywanych chłopców. Sam także trochę oberwał. Nawet jeszcze boli go nos od zbyt mocno ubitej śnieżnej piguły. Ale Janek nie myśli już w tej chwili o zabawie. Od czasu jak

Niemcy rozstrzelali tatusia Janek nie umie się bawić tak szczerze i wesoło jak dawniej. I wogóle nic go teraz nie cieszy. Naprzykład dziś: Pani pochwaliła go za czysto i starannie utrzymany zeszyt i postawiła dobry stopień. Dawniej Janek śpieszyłby do domu, by jak najprędzej podzielić się swoją radością z rodzicami. Ale teraz. Mamusia tak często płacze. A jeżeli nawet jest spokojna, Janek czuje, że jego zeszyt niebardzo ją obchodzi. Zresztą jak tu nawet mówić o zeszytcie, kiedy tatuś rozstrzelany. Tatuś! Mój Boże! Już nigdy nie obejrzy jego, Janka, zeszytu. Nigdy nie chwyci go żartobliwie za czuprynkę i nie zapyta: „No, urwisie, co tam dziś nabroiłeś w szkole?“. Dziecinne serduszek ścisną nieznosny ból. Jak smutno i tęskno bez tatusia. Janek powstrzymuje łzy przymocowaną do oczu. Poczucie strasznej krzywdy, jaka go spotkała, nasuwa pytanie: Dlaczego? Dlaczego tatusia rozstrzelali?

Janek w tej chwili przypomina sobie wszystko. Bo przecież był i widział. Może nawet lepiej zdaje sobie ze wszystkiego sprawę. Wtedy był dziwnie oszołomiony, jakby nieprzytomny.

Kiedy do mamusi przybiegła z płaczem pani Kowalska i powiedziała. Będą naszych rozstrzeliwać. Niech Pani prędko idzie, bo i Pani męża wyczytywali. Janek nic nie rozumiał. Nie rozumiał, dlaczego mamusia krzyczy: — Nieprawda! Co Pani mówi? Nieprawda! — Wyglądała przytem tak strasznie, że Janek się poprostu bał. Ale zaraz przyszedł jeden pan, kolega tatusia i coś długo do mamusi mówił. Janek słyszał tylko: Ma Pani dzieci. Nie wolno. Trzeba się uspokoić. Ma Pani dzieci. — A potem ten pan radził, żeby mamusia została w domu. Ale mamusia stanowczo powiedziała, że pójdzie. Była już zupełnie spokojna, tylko bardzo błada i ręce jej drżały. I zaraz ubrała jego i Zosię. I poszli. Zosia po drodze płakała, że jej zimno. Bo Zosia ma dopiero 4 latka, więc nic nie rozumiała. Ale mamusia zupełnie nie zwracała na nią uwagi. Jakby nie widziała, że Zosia płacze. Więc pani Kowalska wzięła Zosię za rączkę i poszła naprzód. A Janek

szedł z mamą. Trzymał mamę za rękę, a właściwie to mama jego trzymała i tak mocno ścisłała jego dłoń, że aż bolało. Janek widział, że ludzie, których po drodze spotykali, płaczą. Niektórzy tak dziwnie patrzyli na niego i na mamusię.

Doszli do skwerku. Znajdowało się tam dużo ludzi. Patrzyli w stronę, gdzie stał duży ciężarowy samochód. Janek spojrzał w tamtym kierunku, ale nic dojrzeć nie mógł, bo ludzie zasłaniali. Wtem usłyszał szept — Wyprowadzają ich. — Ktoś liczył: Jeden, dwóch, trzech, czterech. Wtem ktoś wymówił jego nazwisko. Mamusia puściła rękę Janka i rzuciła się jak nieprzytomna naprzód. Wtedy ten sam pan, kolega tatusia i jeszcze jeden pan, którego Janek nie znał wzięli mamusię pod rękę i chcieli wyprowadzić z tłumu. Ale mamusia tylko głową dała znak, że nie pójdzie. I już stała spokojnie. A potem Janek niewiele rozumiał. Widział, że niektórzy ludzie poklekali i modlili się. Jakiś ksiądz kreślił w powietrzu znak krzyża. Ktoś cicho szlochał. Ktoś zasłonił sobie oczy rękami. Było cicho, strasznie i uroczyście. Jankowi serce tłukło się w piersiach. Coś go ścisnęło za gardło. Chciał krzyknąć, żeby przerwać tę okropną ciszę. Wtem rozległ się huk, a zaraz potem drugi, Jankowi zakręciło się w głowie. Byłby upadł, ale ktoś go podtrzymał. Czy to mamusia? Nie. Janek płacze. — Mamusiu — woła. W tej chwili już wie, że ma tylko mamusię. Znowu słyszy szept Niosą ich do samochodu. I znowu ktoś liczy... ósmy, dziewiąty, dziesiąty. Mamusię zawieźli dorożką do domu, a Janek wrócił z Zosią i panią Kowalską. Potem przyjechała ciocia, bo mamusia długo chorowała. Ach, jak strasznie myśleć o tym wszystkim. Janek przyśpiesza kroku. Chce jak najprędzej być w domu przy mamusi. I znowu powraca pytanie. Dlaczego? Dlaczego wyrządzili taką straszną krzywdę jemu i mamusi, i Zosi, i tylu innym dzieciom?

Tego dnia mamusia po raz pierwszy od tych strasznych wydarzeń zapytała Janka, co słyhać w szkole? Janek tak bardzo się ucieszył. Zaraz przyniósł zeszyt i pokazał mamusi piątkę. Namusia pogłaskała go i ucałowała.

— Prawda, mamusiu, że tatuś też by się cieszył? — zapytał Janek. — Tak, dziecko — odpowiedziała mamusia. — Będę zawsze tak postępował, żeby tatuś się cieszył — mówi znów Janek. A wtedy mamusia bardzo powoli i bardzo poważnie. — Czy wiesz, Janku, czemu by się tatuś najbardziej cieszył? Żebyś tak kochał Polskę, jak on. — Teraz Janek rozumie, dlaczego tatusia rozstrzelali Dlatego, że kochał Polskę. Patrzy mamusi w oczy i również bardzo poważnie odpowiada: — Będę, mamusiu.

*Wacława Carnelli*

## S e r c e z a s e r c e .

(LEGENDA GÓRNICZA.)

### I.

Mądrego Łyska lubili wszyscy górnicy, lecz najbardziej lubił go kulawy Kubala. Nie byłby go nigdy za nic w świecie uderzył, nigdy się nie złościł, kiedy Łysek nie mógł uciągnąć pełnych wagoników w przekopie, a zawsze go głaskał po suchym łbie i przemawiał do niego łagodnie.

Kulawy Kubala był koniarzem\*). Z Łyskiem pracował już przeszło pięć lat. Codziennie od godziny siódmej rano do trzeciej godziny po południu przemierzał z nim długi przekop, wykuty w piaskowcu. Łysek ciągnął pod szyb szereg wagoników, napełnionych węglem, i kroczył z wysiłkiem. Obok niego szedł Kubala i trzymał go za uzdę. Za nimi zaś huczały wagoniki.

Inni koniarze nie mieli takiego serca dla swoich koni. Bili je, gdy nie mogły uciągnąć wagoników, złościł się i przeklinał. Kubala tego nie czynił. Przeciwnie głaskał Łyska, jeżeli go siły opuszczały, pozwalał mu spocząć, a zamiast ostrych słów, miał dla niego najwyższej łagodnej wymówki.

— No; ciągnij, Łysku, ciągnij! — mawiał, klepiąc konia po karku. — Widzisz, taki z ciebie wielki koń, a nie możesz dać rady. No, ciągnij, Łysku, ciągnij!

\*) Koniarz — górnik, który pracuje w kopalni przy wywożeniu węgla z pomocą koni, zaprzęganych do wózków.

Łysek patrzył mądrymi oczami na Kubalę, zarżał potem leciuchno i ciągnął.

Kubala często gniewał się, jeżeli widział, że któryś z koniarzy bije swego konia.

— Nie czyni tego! — mawiał. — Widzisz, że koń wysila się, co może! Raczej pomóż mu, odepnij jeden lub dwa wagoniki, to uciągnie! Miej dla zwierzęcia serce!

Kubala zawsze przynosił dla swego Łyska trochę owsa w kieszeni, pęk trawy, kęs chleba, a czasem nawet i kawałek cukru. Łysek zaś rżał uradowany, jak tylko posłyszał kroki Kubali. Wyciągnął głowę do niego, wachał go po kieszeniach i po dłoniach, dmuchał przez nozdrza po jego twarzy, rżał leciuchno, a potem grzebał nogą na znak, że się bardzo raduje. Bo owies był ogromnie dobry, a trawa i chleb były jeszcze lepsze, najlepszy zaś był cukier.

Tak mijał dzień za dniem. Łysek powoli starzał się, powoli ślepił w mrokach kopalni i z dniem każdym był coraz słabszy. Kubala widział to wszystko i dlatego żał mu było konia. Ujmował mu przeto wagoników, starał się go oszczędzać w pracy i jeszcze więcej serca mu okazywał. Zarabiał wskutek tego mniej, gdyż nie potrafił odwieźć pod szyb tyle wagoników z węglem, co inni koniarze.

— Nic nie szkodził — mawiał, gdy inni górnicy czynili mu wymówki. — Koń słaby, trzeba mieć dla niego serce. Od pięciu lat nie widział już słońca ani nieba, ani trawy, ani niczego, co jest na powierzchni ziemi.

Zresztą górnicy lubili Łyska, bo wszyscy wiedzieli, że to mądry koń. Wszak potrafił pociemku trafić z wagonikami pod szyb, potrafił wrócić z próżnymi wagonikami do górników, ładujących węgiel, umiał sobie głową otworzyć drzwi, a Kubalę poznawał z daleka po chodzie

## II.

Pewnego razu przyszedł pan inżynier do Kubali w kopalni.

— Cóż słychać u was, Kubalo — zapytał, podnosząc lampę i oświecając oczy Łyska.

— Panie inżynierze... nasz Łysek ślepnie... — rzekł Kuba, la i zaczął prosić pana inżyniera, by się ulitował nad Łyskiem i kazał go wywieźć na powierzchnię. Pan inżynier słuchał-kręcił głową. Wszak Łysek jeszcze może jakiś czas pracować w kopalni, a potem zastrzeli się go i skończon! Kubala jednak tak bardzo przemawiał za Łyskiem, że wkońcu pan inżynier powiedział:

— Dobrze, Kubalo! Kiedy macie tyle serca dla konia, to niech będzie po waszemu. Każę pojutrze wywieźć Łyska na powierzchnię. Będzie na łaskawym chlebie kopalni.

Kubala chciał podziękować, ale pan inżynier już odszedł. Nazajutrz Kubala zjechał do kopalni jak zwykle. W kieszeni miał kawałek cukru dla Łyska. To był ten cukier, co go miał sobie włożyć do kawy, lecz nie włożył. Wolał wypić gorzką kawę, a cukier zabrać dla Łyska. I znowu rozpoczęła się praca jak zwykle. Kubala radował się, że Łysek pracuje już ostatni raz w kopalni, że jutro będzie na powierzchni.

Koło południa zjechał pan inżynier. Przyszedł do Kubali i powiedział, żeby poszedł z nim w starą część kopalni. W tym miejscu nie pracowano już od kilku lat. Pan inżynier chciał tam zbadać chodniki. Kubala poklepał Łyska po karku i poszedł z panem inżynierem. Szli długo nachyleni nisko. Powietrze było tu duszne i ciepłe. Gdy wkońcu weszli w starą komorę\*), a pan inżynier zaczął ją oglądać, zniecka spróchniałe stemple zatrzeszwały, ogromne zwały kamieni i rumowiska runęły i zagrodziły im wyjście. Lampy zgasty, a gwałtowny ciąg powietrza cisnął ludźmi o ścianę.

Obydwaj nie wiedzieli, jak długo przebywali w zwalisku. Leżeli pod ścianą, gotując się na powolną śmierć z głodu. Bo któż będzie wiedział, że oni są tutaj zasypani? W pewnej chwili wewnątrz komory rozjaśniło się czerwonym światłem. Zdumieni podnieśli głowy. I oto ujrzeli dobrego ducha kopalni, zwanego przez górników Skarbnikiem. Stał nad nimi, siwy, rosły, z długą, białą brodą i patrzył w nich łagodnymi oczyma.

\*) Komora — jama podziemna w kopalni, powstała po wydobywym węglu.

— Wstańcie i chodźcie za mną! — rzekł do nich.

Oni wstali i poszli za Skarbnikiem. On zaś wszedł w węglową ścianę, a ściana rozstępowała się przed nim jak mgła. Szli długo. Skarbnik zdążył wciąż przodem, milczący, oświetlając im drogę. Wywiódł ich w ten sposób na chodnik, wiodący już pod szyb. Gdzieś w głębi dojrzeli obydwaj migocące światła górników.

— No, teraz idźcie pod szyb... Już traficie!.. — rzekł duch kopalni, Skarbnik. — Wywiódłem was z zawałiska, bo mieliście dla Łyska serce... Serce za serce!.. — dodał jeszcze i znikł w ścianie.

Kubala zaś z panem inżynierem poszli pod szyb omackiem wciąż mając we wspomnieniu tamte dziwne słowa ducha kopalni, Skarbnika:

— Serce za serce!..

Tak mówi o tym stara legenda górnicza.

*Gustaw Morcinek.*

## Wycieczka po naszym powiecie.

### I.

#### **Biała Podlaska.**

Cudze chwalicie — swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie! Tak zwykle bywa, że to co daleko i u kogoś to piękne i osobliwe. A tu blisko, naszych pamiątek najczęściej nie znamy.

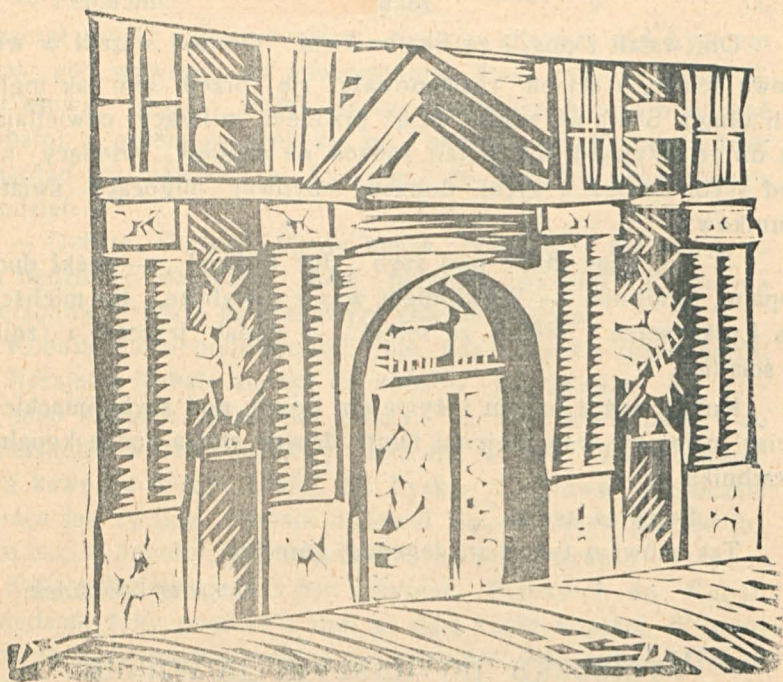
Dlatego zwiedzajmy nasze miasto powiatowe.

Biała Podlaska leży nad rzeką Krzną.

Przez miasto przechodzi trakt czyli szosa z Warszawy do Brześcia.

W mieście są pamiątki z dawnych wieków. I tak. Cały park gdzie dzisiaj mieści się Starostwo to resztki parku i zamku Radziwiłłów. Pozostała tam dawna brama z rzeźbami i wieża zamkowa.





Dawna brama Radziwiłłowska.

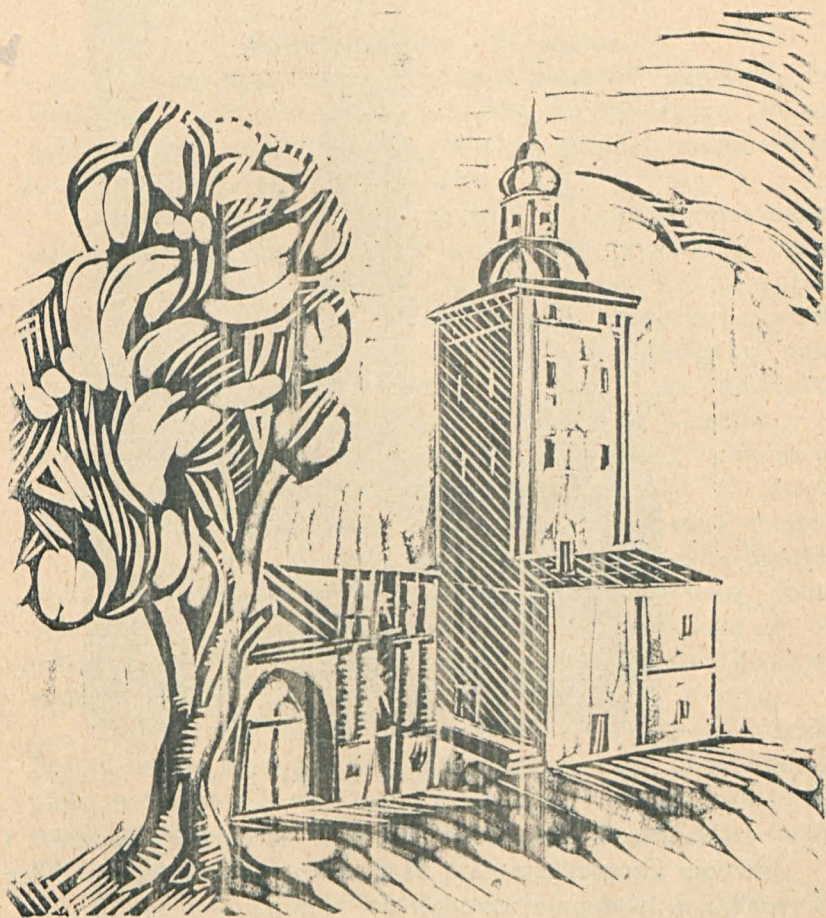
(Linoleoryt St. Duńskiego)

Na gmachu gimnazjum męskiego u góry widać datę 1628, oraz niżej tablicę z marmuru Ks. Krzysztofa Wilskiego założyciela i fundatora dawnej Akademii Białskiej. Tutaj uczył się znany pisarz polski Józef Ignacy Krauzewski.

Opodal gimnazjum wznoszą się mury kościoła Świętej Anny. Jest to najstarszy kościół w Białej Podlaskiej. Na froncie kościoła widnieje data 1525.

Wewnątrz przy bocznych ołtarzach zachowały się jeszcze dawne malowidła.

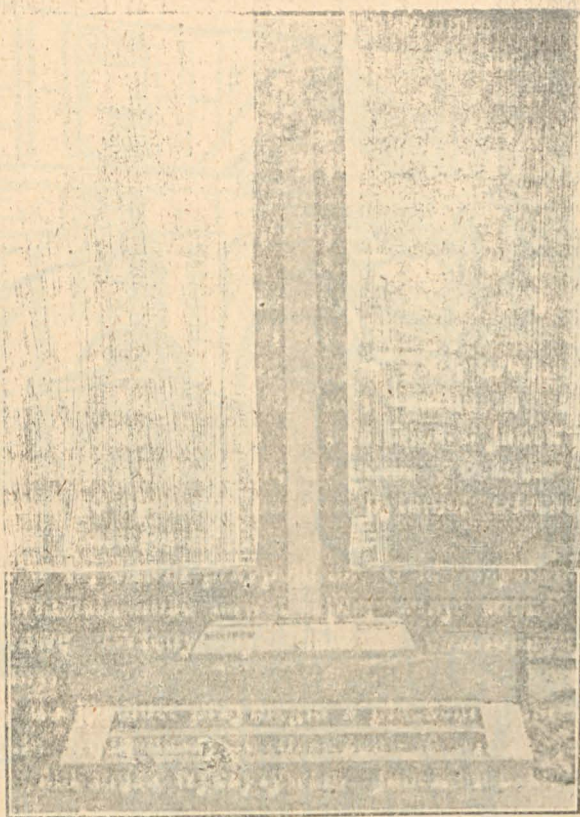
W XVII wieku wybudowano kościół Reformatów przy ulicy Reformackiej, oraz kościół i klasztor Bazylianów przy ul. Brzeskiej. W tym ostatnim przechowywano ciało świętego Józefata w srebrnej trumnie, którą Niemcy wywieźli do Wiednia.



Wieża dawnego zamku białskiego i brama wjazdowa

(Litoleoryt St. Duńskiego)

Na Białce przy szosie brzeskiej stał piękny pomnik ku czci Poległych 1863 roku wybudowany w 1937-mym, a który Niemcy całkowicie zniszczyli, wysadzając go w powietrze w czasie obecnej wojny.



Łomnik Powstańców 1863 roku na Białce.

Na Placu Wolności wzniesiono granitowy pomnik Odrodzenia Ojczyzny z datą 31 grudnia 1918 r. i ten Niemcy rozbili, a następnie zakopali do ziemi.

Z pośród urzędów i instytucyj zasługują na zwiedzenie: 1) fabryka kopyt i kołków szewskich, (dawniej Raabego) obecnie prowadzona przez Związek Spółdzielni „Społem“, 2) dom kultury w Zamku pod wieżą, 3) młyn mechaniczny Ratajewicza, 4) Sąd Okręgowy, 5) Drukarnia Miejska oraz 6) warsztaty ślusarsko - mechaniczne, fabrykujące gwoździe, pudelka blaszane, śruby i różne narzędzia gospodarskie.

W Białej-Podlaskiej znajduje się jeszcze wiele ciekawych rzeczy, które można zobaczyć w czasie zwiedzania.

## II.

### **Konstantynów i Serpelice.**

Była godzina 7 rano, gdy cała klasa IV zapełniła dwa wagoniki kolejki. Ruszamy. Jedziemy na wycieczkę. Już minęliśmy park zwany Zofilasem i po drugiej stronie elewator zbożowy Spółdzielni „Rolnik“.

Przejeżdżamy most na Krznie. Za chwilę opuszczamy miasto śpiesząc do prastarych drzew przy janowskiej szosie. I te mijamy. Znowu rzeczka, to Klukówka, co przepływa przez Cicibor i Rozkosz. Tutaj widzimy oranżerię, wielki park, pałac, gorzelnię i wzorowe obory, ale jedziemy dalej. Zanim ochłonęliśmy z odbieranych wrażeń już konduktor krzyczy: Leśna Podlaska! Acha! to tutaj jest klasztor z cudownym obrazem Matki Boskiej Leśniańskiej, gimnazjum i Szkoła Spółdzielcza. Jeszcze pół godziny jazdy. Po drodze przewodnik pokazuje nam zabudowania fabryczne mówiąc: — Nosów. — Tutaj jest krochmalnia t.j. taka fabryka w której z ziemniaków wyrabia się mąkę kartoflaną. Służy ona do wyrobu kleju zwanego dekstryną, następnie do wyrobów cukierniczych, jako artykuł spożywczy, oraz do krochmalenia bielizny.

Dojeżdżamy do Konstantynowa. Stare to miasteczko. Był tu nawet kiedyś powiat Konstantynowski, a dawniej jak piszą w książkach nazywano to miasto Kozieradami. O Kozieradach wspomina w swych pamiętnikach Jan Chryzostom Pasek rycerz z wojsk Stefana Czarnieckiego.

Dużo dokumentów historycznych i pamiątek przeszłości, można spotkać w pałacu Platerów w Konstantynowie.

Poprzez Witoldów zdążamy pieszo do Serpelic.

Jest to tak zwana „Szwajcaria podlaska“, prawdziwe uzdrowisko. Szkoda tylko, że brak szosy z Konstantynowa i domów letniskowych. A jak tu pięknie. Urwisty, wyniosły brzeg Bugu. Sosnowe lasy. Krajobraz falisty. Słońce, woda, zielen i piasek. Wszystko człowieka wabi.

### Janów Podlaski i Terespol.

Z Serpelic wynajętymi wozami dojechaliśmy do Janowa Podlaskiego. Tutaj przez wiele wiele lat mieli swoją siedzibę biskupi podlascy.

Ich rezydencją czyli siedzibą był zamek wraz z kolegiatą pod wezwaniem Św. Trójcy. W kościele tym znajdują się relikwie św. Wiktora patrona Podlasia.

Obok mamy drugi kościół Dominikanów. Poza tym ze starych zabytków zwiedzamy: dzwonnice, grootę Naruszewicza przy zamku, dom rodziny Ryttów (obecnie apteka) jako budynek w stylu staropolskim, oraz pierwszy dom osady żydowskiej

Obok Janowa na Wygodzie istniała państwowa stadnina, którą Niemcy zlikwidowali. Wierzymy, że wkrótce rozwinie się ona na nowo.

Na rynku czeka nasz samochód, którym pojedziemy do Terespoła.

W czasie jazdy mijamy Derło z drugiej zaś strony Cieleśnicę z młynem, gorzelnią, rektyfikacją wódek i rybnymi stawami, aż dojeżdżamy do Pratulina i Bohukał. Chwila odpoczynku. Przewodnik opowiada:

— Tutaj w Pratulinie w 1874 roku odbyła się rzeź unitów. Z dawnych bolesnych pamiątek pozostały tylko krzyże i nagrobki. Reszta uległa zniszczeniu. Z zamczyska nawet brak śladów. Po drodze zatrzymujemy się w Neplach, gdzie Krzna wpada do Bugu. Neple obok Serpelic są najpiękniejszym zakątkiem powiatu. Resztki ruin przeszłości na tle malowniczej przyrody są miejscem naprawdę nadającym się dla odpoczynku. Oglądamy tu olbrzymi jałowiec, 300-letni buk, cisy i inne osobliwości.

Nareszcie dojechaliśmy do Terespoła. Obok szosy stoi wyniosły obelisk — to pomnik ukończenia szosy warszawsko-brzeskiej. Taki sam pomnik stoi na Grochowie pod Warszawą.

W Terespolu widzimy betonowe budowle — to forty twierdzy brzeskiej z dawnych lat. Dużo uroku posiada w zadumie okolony drzewami stary kościół.

Są tu słynne nawet zagranicą — Zakłady Terespolskie, które konserwują różne warzywa, jak: ogórki, pomidory, marchew, kapustę i inne.

#### IV.

### Kodeń i Łomazy.

Z Terespoła wprost od pomnika jedziemy szosą poprzez Błotków do Kodnia. Po drodze mijamy ostrowy dawnych osiedli nawodnych i kurhany\*) nadbużańskie jako ślady minionych bardzo dawnych czasów.

Dojeżdżamy do Kodnia. Już zdale widnieje śliczna w swych kształtach wieża kościoła gotyckiego, w którym mieści się cudowny obraz Matki Boskiej Kodeńskiej — opiekunki Podlasia.

Obok kościoła wznosi się Klasztor Ojców Oblatów, którzy sprawują pieczę nad cudownym obrazem.

Na wzgórzu nad Bugiem, znajdują się resztki dawnego zamku wraz kaplicą i kościołem unickim.

Z Kodnia wozami jedziemy przez Tucznę i Huszczę, dawne zaścianki szlacheckie, do Łomaz.

Łomazy upamiętniły się tym, że tu odbyły się dwa sejmy Polski i Litwy za panowania Kazimierza Jagiellończyka.

W odległości czterech kilometrów od Łomaz leży wieś Studzianka. Dawniej było tu osiedle tatarskie. Do czasów wojny światowej 1914 roku znajdował się meczet i cmentarz tatarski. Obecnie zarówno cmentarzysko jak i meczet\*\*) uległy zniszczeniu. Teraz po żmudnej wędrówce zdążamy czym prędzej do domu. Zebraliśmy sporo wrażeń. Zobaczyliśmy wiele wartościowych rzeczy, które stanowią nasze bogactwo, otrzymane w spuściznie po minionych wiekach.

\*) Przedhistoryczne mogiły.

\*\*) Świątynia mahometańska.

## Na Śląsku dymią kominy.

Na Śląsku dymią kominy  
żelaznych hut  
Tu siłę Polski buduje  
nasz śląski lud.

## Pieśń górników.

Hej, górnicy my z Dąbrowy,  
Ciepła, światła straż!  
Czarny na nas pył węglowy,  
Lecz to węgiel nasz.

Dalej razem brzęk w oskardy  
Węgiel twardy, kilof twardy,  
Z głębi szybu płomyk błyska,  
Kilof bije, węgiel pryska!

A nasz sztygar ten naprzędzie,  
Do roboty zuch!  
Jak na windzie w studnię jedzie,  
Zaraz inny ruch!

Dalej razem brzęk w oskardy,  
Węgiel twardy, kilof twardy!  
Pot na czole porłą błyska,  
Kilof bije węgiel pryska.

*Maria Konopnicka*

## Wiosenne roboty w polu.

Jeszcze z wieczora padał gęsty śnieg i pokrył wieś grubą warstwą. W nocy zaś powiał ciepły wiatr i stopił śniegi, zaledwie tu i owdzie, pod płotami i w rowach zastawiając białe płaty.

Rozmokła droga pełna była błota. Ciepły wiatr wiał dniem i nocą, pędził kłębowiska wiosennych chmur, przywiał z za morza skowronki i rozwinął blade kwiatki śnieżyczek. Stwardniała od mrozów ziemia pod tym ciepłym podmuchem poczęła tajać i rozmiękać. Wielka też już była pora na rozpoczęcie roboty w polu, bo zima trzymała długo. Pierwszy z pługiem wyruszył Stefan.

Idzie Stefan za pługiem, pogwizduje sobie wesoło, a wiatr to jego gwizdanie po całej wsi roznosi.

Z ozimin wzniósł się wgórę szary skowronek i dźwięcznym głosem chce przekrzyknąć Stefanowe gwizdanie.

Zgrzane konie z trudem wyciągają zmęczone nogi z rozmokłej ziemi co tłustymi grudami oblepia im kopyta. Powoli sunie pług, odwracając wielkie, czarne skiby.

Przyszedł gospodarz na to pierwsze oranie popatrzeć. Przystanął, na skiby spojrzął.

— No co, — zagadnął — ciężko? Ziemia jeszcze mokra.

Zatrzymał Stefan konie, ze spoconego czoła kaszkiet na tył głowy zsunął:

— Trochę ciężko, ale siac można będzie.

— A czas już, czas — rzekł gospodarz.

Spiesz się Stefan, by zaczęty szmat ziemi do wieczora zaorać. Kwiecień za pasem, roboty coniemiarą. Stefan musi kończyć orkę, a gospodarz wnet do siewu się weźmie. Trzeba też w krótkce kartofle sadzić, a potem do sadu się zabrać, drzewka okopać, oczyścić, gałązki poprzyćcinać, pnie objelić. W sadzie stoi kilka kolorowo malowanych uli. I o nich trzeba pamiętać, i tam porządek zrobić.

O zmroku wraca Stefan z pola. Rzą zcicha zmęczone koniska, czując stajnię i pełny żłób. Napracowały się dziś rzetelnie. Odpoczną przez noc w cieplej stajni. Stefan podściela im czystą słomę. Jemu też należy się odpoczynek, od prowadzenia pługa bolą ręce, a nogi od całodziennego chodzenia po błotnistej ziemi.

Z chaty już słychać głos gospodyni:

— Stefan, Stefan, wieczera ci ostygnie.

*Halina Huszczyńska*



## Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gaską,  
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,  
Gdzie wodę zbierano;  
Ani pomyśleć o wyskoczeniu.  
Chociaż wody nie było i nawet nie grząsko:  
Studnia na półczwarta łokcia,  
Za wysokie progi  
Na lisie<sup>1)</sup> nogi;  
Zrąb<sup>2)</sup> tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia.  
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!  
Inny zwierz pewno załamałby tapy  
I bił się w chrapy<sup>2)</sup>,  
Wołając gromu, ażeby go dobił.  
Nasz lis takich pługstw nie robił;  
Wie, że rozpaczć jest to zło przydawać do zła.  
Zaczem maca wroto zębem,  
A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,  
Stojącego tuż nad zrębem  
I patrzącego z ciekawością w studnię.  
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije;  
Cmoka mocno, głośno chłepce  
I tak sam do siebie szepce:  
„Oto mi woda, takiej nie piłem, jak żyję!  
Smak lodu, a czysta cudnie!  
Chce mi się całemu splókać,  
Ale mi ją szkoda zbrukać,  
Szkoda!  
Bo co też to za woda!“  
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:  
„Ej! — krzyknął z góry — ej, ty, ryży kudła,  
Wara od źródła!“  
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,  
A z rogów na zrąb i w nogi.

Adam Mickiewicz

<sup>1)</sup> Zrąb w studni oznacza cembrowinę.

<sup>2)</sup> nozdrza.

## Jak Stasia gospodarowała.

Kiedy Michał Popiołek odwiózł swą żonę do miasta do szpitala, całe gospodarstwo kobiece spadło na wątłe barki najstarszej córki Popiołków, Stasi.

Sąsiadki kiwały z ubolewaniem głowami.

— Nie poradzi sobie, biedactwo — wzdychała Janowa.

— Gdzież to taka praca dla dzieciaka! Ani nawet mowy niema, zmarnieje wszystko — dorzucała Osuchowa.

Słuchała tych rozmów córka Janowej, Wikta.

Bardzo jej było żal Stasi. Taka mała, mniejsza od niej, a nawet od Józki, musi teraz tak pracować i o wszystkim pamiętać.

— Rano krowę wydoić, kurom ziarna posypać, śniadanie zrobić, dzieciaki ubrać, nakarmić — wylicza sobie Wikcia w myśli. — A obiad, a pranie, a ogród? Przecież to wiosna: Ojej! czy jabym to potrafiła sama zrobić?

Biegnie Wikta na wieś do Józki, do Marynki, do Kasi, do Bronki. Zebrały się całą gromadą, usiadły na belkach koło mostku i coś tam radzą, a szepczą, a nachylają się ku sobie. Potem za ręce się wzięwszy, biegną co siłą do Michałowej zagrody.

— Dzieńdobry, Stasiu! Może ci co pomóc? Może krowę wydoić? A co robisz w ogródku? — wołają wszystkie naraz. Stasia śmieje się, rada z odwiedzin.

— Ojej! nie krzyczcie bo mi kurę spłoszycie, na jajach siedzi.

Rażnie wzięły się dziewczynki do pracy. Józka zamiotła podwórko, a Kasia wysypuje je piaskiem, Marynka doi krowę, Bronka myje dzieci: Stefanka i Różię. Wikta ze Stasią sprzątają mieszkanie. Już wszystko zrobione.

Teraz biorą łopaty i grabie i biegną do ogrodu. Tu czeka je niemiła robota.

— Najpierw — mówi Stasia — trzeba skopać te grządki pod warzywa. Tu będzie marchew, tu pietruszka i koperek, tam groch.

— A kwiaty? — pyta Kasia. — Wcale nie posiejesz kwiatów?

— Matusia zawsze miała ładne kwiatki — mówi Stasia i oczy jej łzami zachodzą.

— To i my kwiatki posiejemy, nie martw się Staśka, — woła Wikta.

Już jeden zagonek gotów, teraz drugi. Ani spostrzegły, jak wieczór począł zapadać.

— Ojej! już późno, — woła Marynka — musimy iść do domu. Przyjdziemy jutro — już od furki zapewnia Kasia. Odtąd też codzień po szkole przybiegały przyjaciółki do Stasi i zwawo brały się do roboty. A co tam było śmiechu, krzyku, żartów i dokazywania! Najwięcej czasu pochłaniała praca w ogrodzie. Kopały, grabiły, siały. Na dwóch zagonkach koło chaty urządziły ogród kwiatowy. Kasia, córka ogrodnika, uprosiła u ojca trochę nasion.

— W maju — obiecywała Kasia — przyniosę rozsadę sałaty, lewkonij i astrów.

— Takie jesteście dla mnie dobre, — mówiła Stasia — jak ja się wam odwdzięczę?

— Eh! nie opowiadaj, — obruszyła się Wikta — a czy tybyś nam nie pomogła, gdyby trzeba było? Jeszcze może nieraz coś dla nas zrobisz.

I tak mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Ogródek zazielenił się, trzeba było wrywać chwasty, polewać zagonki. Roboty wciąż przybywało, jak zwykle na wiosnę.

Pewnego niedzielnego popołudnia zebrało się kilka sąsiadów przed chatą Janowej i gwarzą sobie o tym i owym.

— Podobno już niedługo wraca Michałowa ze szpitala do domu.

— A podobno. Ale ta jej dziewczucha... no, no! Ktoby pomyślał. Takie niby chucherko, a jak to sobie radził!

— Właśnie! Widzieliście jej ogródek? Zieloniuchno, czyściuchno. A ojejście! piaskiem wszędzie wysypane i pozamiatane.

— Ale i waszą Wiktę, Janowo, pochwalić trzeba. Pomagała tu przecie beżmała codzień.

— E, co zaś tam tyle chwalić! Dobre te nasze dziewczyska, nie można powiedzieć. A że koleżance w ciężkich chwilach pomagały, to się rak przecie należy.

Ale równocześnie Janowa z rozczuleniem i radością patrzyła na swoją córkę, która właśnie szła od ogródka Stasi.

*Halina Huszczyńska*

## *Antoś z Kujaw.*

*Ziemia, gdzie mieszka Antoś, Z buraków robią cukier  
nazywa się Kujawy w cukrowni koło kościoła.  
Niema tam dużych lasów, Obok jest urząd gminny,  
lecz są jeziora i stawy. a obok stoi szkoła.*

*Na polach rośnie pszenica, Za szkołą jest równa droga,  
w pszenicy kwitną maki, podobna do ulicy.  
a dalej widać w grzędach Można tą drogą dojechać  
wielkie, cukrowe buraki. aż do samiutkiej Kruszwicy,*

*Jak tatuś tam pojedzie,  
Antosia też zabierze,  
żeby pokazać mu Gopło  
i starą Mysią Wieżę*

*Hanna Morkowicz*

## *Młockarnia.*

- Gdzie dziś będą młócić?
- U Syrków.
- A jutro?
- U Makosiów.

We wsi jest tylko jedna młockarnia. Stoi w szopie gminnej, ale obsługuje wszystkich, całą wieś.

Przedtem młócono cepami. Długo to trwało, namęczyli się ludzie, nim wymłócili korzec czy dwa żyta. Jeśli cały zbiór chciano odrazu wymłócić, to trzeba było we trzech, we czterech walić cepami przez dobrych parę dni

Wreszcie poszli ludzie po rozum do głowy. Pogadali z prezesem Kółka Rolniczego i w lecie zajechał przed gminę wielki wóz, okryty płachtą.

Co to?

— Popatrzcie, do Kółka coś przywieźli!

Nazbierało się dzieci z całej wsi. Dorosłych też, bo każdy był ciekawy. Pod płachtą była wielka młockarnia. Ostrożnie zdjęto ją z wozu, przeniesiono do szopy.

Teraz młócono wszystkim pokolei. Zbierali się ludzie od domu do domu i pomagali sobie wzajemnie.

Wielka młockarnia stała na klepisku w stodole. Jedni siedzieli na strychu, pod dachem, i zrzucali stamtąd snopki. Inni podawali je do maszyny. Jeszcze inni znow trzymali worki z ziarnem i zabierali je, odstawiali nabok, gdy były pełne. Dudnił motor. Huczała młockarnia. Kurz unosił się w górę. A tam, w głębi, we wnętrzu maszyny obracały się trybiki, zgrzytały żelazne zęby, warczały kółeczka, młóciło się zboże. Jednym otworem wychodziła zmięta słoma, próżne, wyłuskane doszczętnie kłosa, a drugim sypało się czystutkie ziarno. Wszystko szło raz, dwa. Jak zaczęli rano, to ku wieczorowi przewozili młockarnię już do trzeciej albo i czwartej zagrody.

Dzieci także pomagały. Odnosiły nabok wymłóconą słomę, podawały worki i koszyki. Wesoło było przy tym młóceniu. Dziewczęta śpiewały, ale mało co z tego było słychać, bo wszystko zagłuszał łomot i huk młockarni. Tylko było widać, jak otwierają usta i więcej nic. Gdy robota szła prędkiej, wznosił się większy kurz z suchego zboża, wysuszonej słomy, to nawet niewiele się widziało, tylko ten nieustanny strumień złocistych ziarn, sypiący się z otworu młockarni.

Potem młockarnia jechała do następnej stodoły. Tu podmiatano na czysto klepisko, słomę wynoszono na strych, zboże zsypywano do skrzyń — i już było po młóceniu. Można się było zabrać do innej roboty.

Tam, gdzie wieczorem kończono młócić, o ile to był najmniejszy gospodarz, to urządzał zwykle przyjęcie. Przynosiła

gospodyni placki, kawę w wielkich dzbankach, czasem nagotowała ziemniaków i kapusty z wędzonką. I ludzie jedli, a gdy trafił się kto ze skrzypcami albo harmonją, to była muzyka Wtedy do późna tańczono na wymiecionym klepisku.

Na ścianie w stodole wisały niepotrzebne już teraz, nieużywane cepy.

— Jak to sobie ludzie poradzili — myślał niejeden. — Dawniej każdy robił sam dla siebie i bez cepów nie mógł się obejść. A teraz wszyscy robili dla wszystkich. Jeden drugiemu po sąsiedzku pomagał. I szło to szybko, sprawnie, wesoło.

*Wanda Wasilewska*

## Burza na morzu.

Franek nie pierwszy raz wyjeżdżał z ojcem na połów fląder, ale nigdy jeszcze nie był tak długo i tak daleko od brzegu. Całą dobę prawie przesiedział na kutrze, pomagając ojcu i jego pomocnikom wyciągać sieci, i cieszył się ze wszystkimi na widok piętrzącego się na dnie stosu ryb

Było już pod wieczór, kiedy wracali pod żaglem na Hel. Kuter oprócz żagla miał motor, ale przy sprzyjającym wietrze nie zapuszczono go, żeby oszczędzić benzyny.

— Za godzinę będziemy w domu, — powiedział ojciec — byleby tylko burza nie zerwała się, bo coś mi na to wygląda.

Jak stary rybak przeczuł burzę, to jemu tylko wiadomo. Są widać jakieś znaki na zachodzącym słońcu, a może wiatr powiał w jakiś szczególny sposób. I rzeczywiście, nie minęło piętnaście minut, kiedy wiatr zaczął zmieniać kierunek, szarpiąc żaglem to w tę, to w inną stronę. Słońce zakryła czarna chmura i zaczęła szybko zbliżać się w kierunku kutra.

— Zwinąć żagiel! — zawołał ojciec Franka. — Bruno, zapuść motor!

Na kutrze oprócz Franka z ojcem było trzech rybaków. Zwinnymi ruchami zwinęli żagiel, owinęli go linami i dołożyli na dnie, na rybach. Zawarczał motor. Rybacy nałożyli nieprzemakalne płaszcze i długie rybackie kapelusze. Po chwili lunął deszcz

— Ale porządna burza będzie — powiedział jeden z załogi.

— Żeby tylko nie zaniósło nas na pełne morze — dodał drugi z obawą

Franek nic nie mówił, tylko nadśluchiwał wycia wiatru i tego, co mówili starsi. Bał się oczywiście, ale za nic nie przyznałby się do tego. Wiatr dał coraz mocniej i podnosił coraz wyższą falę. Biała piana co chwila chlustała z za burty, opryskując wszystkich. Bruno, stojąc przy motorze, niespokojnie spoglądał przed siebie i w pewnej zawołał:

— Kapiżanie, musimy zmienić kierunek, bo fala zalewa kuter.

Ojciec Franka zakręcił sterem<sup>1)</sup> i kuter popłynął w lewo, prostopadle do kierunku fal. Oddalało to ich od brzegu, ale musieli tak uczynić, żeby nie narazić się na utonięcie.

Wiu - u - u... wiu - u - u... wył wintr i podnosił fale wysoko. Kuter to wpęzał na nie, to znów ześlizgiwał się wdół na samo, zdawałoby się, dno otchłani. Wtenczas lęk ścisnął serce Franka i wydawało mu się, że lada chwila i kuter, i cała załoga znajdą się na dnie morza.

— Steruj do brzegu, wiatr się zmienił — zawołał w pewnej chwili ojciec.

Słońce już prawie zupełnie zaszło, ale niebo rozjaśniło się nieco, bo czarna chmura tymczasem odpełzła daleko na północ. Wiatr jeszcze ryczał i wył, ale siła jego widocznie słabła.

Franek patrzył na spienione grzebienie fal i rozmyślał już nieco uspokojony, o tym, jaki to ciężki i niebezpieczny jest zawód rybaka i jak łatwo utonąć w straszliwej głębi morza. On sam też pewnie zostanie rybakiem, jak jego ojciec i dziad, i tak samo jak oni będzie odważnie wypływał na zdradliwe morze na połów, nie bacząc na niebezpieczeństwo.

Wdali ukazały się światła na Helu.

Gdyby nie ten szkwał<sup>2)</sup>, już dawno byłibyśmy w domu.

---

<sup>1)</sup> Ster — przyrząd do kierowania statkiem.

<sup>2)</sup> silny wichur na morzu.

Całą godzinę walczyliśmy z wiatrem i fiał — powiedział ojciec. —  
No, Franek, a bardzoś się bał?

— Tylko trochę — odrzekł Franek, teraz już rad, że był  
podczas burzy na morzu i że będzie mógł przez cały tydzień  
opowiadać o tem kolegom w szkole.

Janina Broniewska

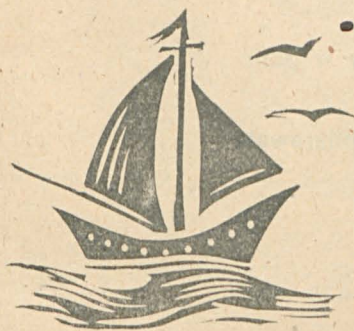
### *Będę marynarzem.*

*Muszę być mocny, mądry i duży,  
pracować muszę zawzięcie;  
chcę marynarzem zostać, chcę służyć  
na naszym polskim okręcie.*

*Chcę zwalczać fale, zwyciężać burze,  
przeptywać mórz przestrzeń słońcą  
i trzymać zawsze wysoko w górze  
banderę<sup>1)</sup> biało-czerwoną.*

*Nie będzie straszyl mnie wiatr północny,  
mróz, upał ani głębina!  
Muszę być dzielny, muszę być mocny,  
ja, przyszły polski marynarz.*

Maryla Czerkawska



<sup>1)</sup> Bandera — flaga okrętowa o barwach państwowych.





## S P I S R Z E C Z Y:

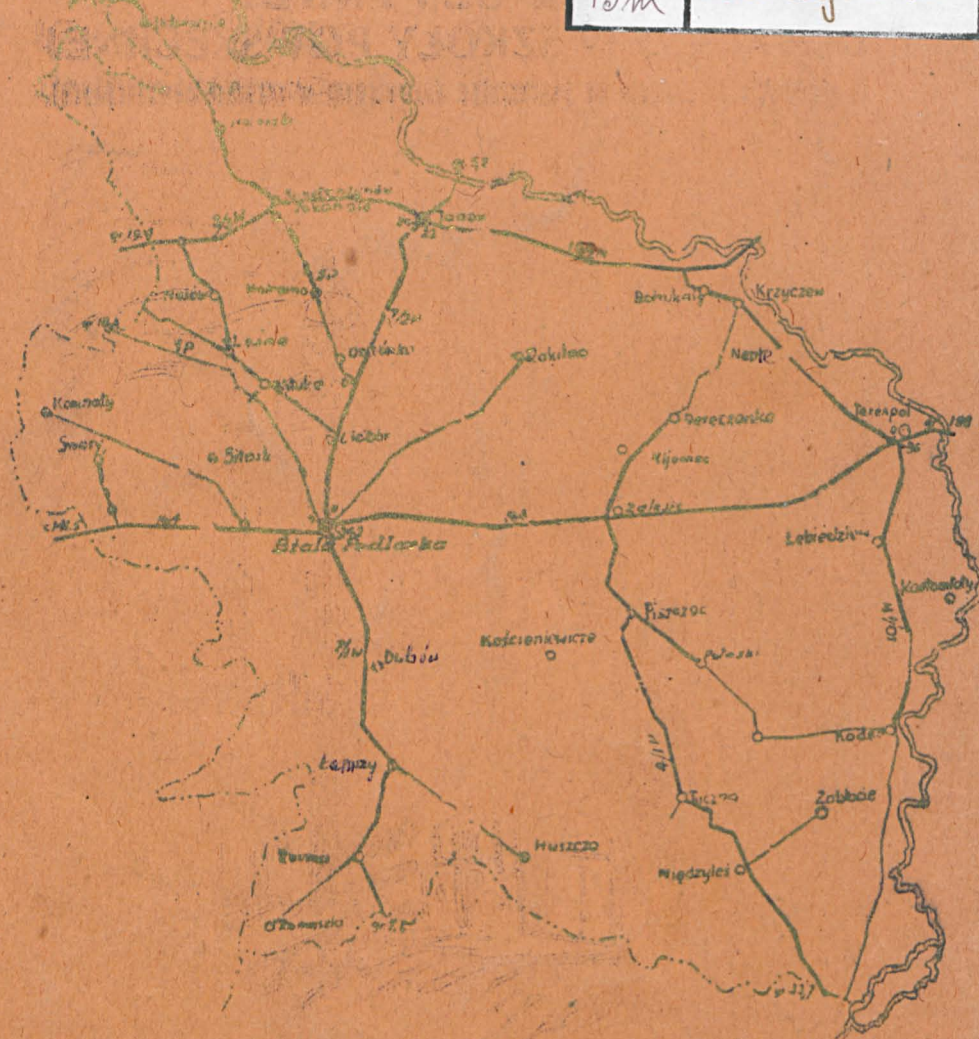
	Stronica
Rota . . . . .	1
Bohaterstwo Jurka . . . . .	2
Majster Kłepka . . . . .	4
Przysięga . . . . .	7
W Komarnie . . . . .	9
Do młodzieży . . . . .	10
Kolorowe włóczki . . . . .	11
Może być nieszczęście . . . . .	12
Sukienką w różyczki . . . . .	15
Po pracy . . . . .	17
Młodzi idą . . . . .	19
Straż nad Olzą . . . . .	19
Serce Frydrychowskiej . . . . .	20
Szczęść Boże . . . . .	22
Dlaczego? . . . . .	25
Serce za serce . . . . .	28
Wycieczka po naszym powiecie . . . . .	31
Na Śląsku dymią kominy . . . . .	38
Pieśń górników . . . . .	38
Wiosenne roboty w polu . . . . .	38
Lis i kozieł . . . . .	40
Jak Stasia gospodarowała . . . . .	41
Antoś z Kujaw . . . . .	43
Młockarnia . . . . .	43
Burza na morzu . . . . .	45
Będę marynarzem . . . . .	47

WBP Biała Podl.  
REGIONALIA

XI  
Pom

Pomoc szkolna:

zbiór czyta nek



Wydawcy w imieniu Ogniska Z. N. P. w Białej-Podlaskiej  
Stanisław Duński i Eugeniusz Grantau.

Drukarnia Miejska w Białej-Podl., ul. Piłsudskiego Nr. 4.